

OSTAP SŁYWYNSKI

O r f e u s z

Tak naprawdę ta historia
ma prehistorię i jest
o chłopcu, który bał się wody.
Ale siedł ze wszystkimi na brzeg i wdrapywał się
na długą skałę,
i kiedy chłopcy skakali do morza, on zostawał
i stał tam, chudy i zagubiony,

 i patrzył, jak oddalają się
głowy w wachlarzach bryzgów,
mając nadzieję tylko na jedno –
że żadna z nich nie odwróci się.

 A potem ruszał do pobliskich
budynków, ścinając z bezsilności
głowy bodziaków,

 inny niż wszyscy tutaj –
podobny do miedzianej struny przypadkowo
wplecionej w koszyk.

 Znasz tego małego?
Wiesz, w którym momencie
ze złości wychodzi muzyka jak motyl
z przemarzniętego kokonu?
Wiesz, gdzie on był do samego rana, kiedy
rodzice znaleźli go w trawie, spoconego
 z zaciśniętymi zębami?
I jeszcze powiedz: ile złości może być w wierszu?
Właśnie tyle, żeby
zagłuszyć syreny?

H i s t o r i a (2)

Ciepła, ale nieodłączna od mroźnej nocy
jak rękojeść od swojego noża.

Ciało –

jej delikatna ambasada.
Państwo jej – ciemne podwórka,
gdzie mogą nawet zabić obcego.

Wiem,

pozwalam połowie jej twarzy żyć w ciemności,
nie przesuwam lampy.

I nie pytam,

a ona sama zaczyna opowiadać.

Jej mały się budzi,
jakby wybija się z rytmu snu.

Cztery doby –

mówi ona. – *Wtedy najdłużej
nie wychodziliśmy na górę.
Na trzeci dzień – albo noc – skończyły się świece
i zaczęłam przypominać sobie,*

umyślnie,

*nic konkretnego,
po prostu okno w pokoju. Jakiś
dzień, który się nie zaczął
i nie skończył.*

*Wieczór; kiedy idziesz spać,
wyłączasz światło i wiesz, że w ciemności
kwitną drzewa i polują nocne ptaki.*

Poranek,

kiedy drzemiesz na stojąco, a kasza wcale
nie kipi.

I może wszystkie te lata
monotonnego budzenia się, kiedy nic się nie dzieje,
są nam przeznaczone,

żebyśmy

jak kamień
długo leżący na słońcu i nabierający ciepła,
jednej zlej nocy

ogrzali czyjs policzek?

O j c i e c

I ta dziwna zabawka, jego
prezent: drewniany
miecz, po którym
jeszcze długo ściekała żywica –
pamiętasz?
Jaką nabitą głowę ma śmierć, że
przepuściła ten żart!

A schodki, wydlubane w spadzistym zboczu
dla matki, która
już nawet nie wstawiała z łóżka?
Dlaczego choroba
pozostała głucha na tę
niewinną magię, w jaką zamieniła się
wieczna jego niepraktyczność?

Oto w chmurze dymu i warkotu
wjeżdżamy do przedpokojów lasu,
a on, trzymając jedną ręką kierownicę,
pokazuje w niebie białozora.

Gdzie on znikł tego dnia?
Jak z bratem długo czekaliśmy na niego i wołaliśmy,
słyszac, jak po nas z gęstwiny
pohukuje na niego ktoś trzeci!

Czy my, tak jak on, coś wynieśliśmy z młodości?
Jakiś znak, po którym znowu damy radę do niej wejść
na krótko? A jaką on miał przepustkę?
Nocne harce bez świateł, drewniane miecze,
pływanie na golasa w lodowatej jeszcze wodzie?

Były

i cięższe czasy, i były chwile zabawy, były przebite
baki, z których wyciekła benzyna i olej, pozostawiając
na ziemi swój niezmywalny podpis, były
dzieci jego dzieci, znowu dowodzące przyłotami
aniołów, i długie gaśnięcie mamy, i duch jej,
wspinający się po zboczu,

i ciężka podła praca

na starość, i pamięć, która wszystkiemu pomnaża zarysy,
i powracanie dawnych nawyków, po starczemu uparte
i radosne, jak na przykład łowienie ryb do późnej nocy,
kiedy kula słoneczna jest coraz niżej, i jego cień,
który zdrzemnął się nad wędką, dochodzi do samych naszych
stóp, nie pozwalając

ani zasnąć, ani skupić się,

i był potem

nagły błysk, kiedy ojciec włączał światło w sypialni,
nad ranem przyszedłszy stamtąd, znad wód,
roześmiany, z wiadrem
prawie całkowicie pustym.

M i ł o ś ć

Takie klucie
jakbyś ciepły fajans
wziął przemarznąłą ręką,

albo ciało, ścierpnięte od snu,
przechodziło przez pokój,
jeszcze trochę kulejące
i uśmiechnięte.

Takie klucie,
jak wtedy, kiedy ojca
jakoś nie golili już kilka dób,
a on leżał
niczym
słony i przegrzany kamień,
i obejmował nas po kolei.

Takie klucie jakbyś
długo niósł choinkę przez zbite
od mrozu powietrze
i wiedział, że ktoś
spośród ludzi
ukolysanych Najświętszą Nowiną,
wciąż czeka, nie śpi.

Zakochani na rowerze

Ona jedzie na ramie jak ptak, który
 na chwilę przysiadł na gałęzi, rozwiany i opierzony,
 z dwoma stulonymi
 kolanami ślącymi słodkie sygnały
 kierowcom ciężarówek z naprzeciwka.

Jego widzimy niewyraźnie, ale słyhać,
 jak jego flaga postukuje o siodełko przy każdym naciśnięciu
 pedałów. Nuci melodyjkę,
 z jakiego frontu ją przywiózł? Tu takiej nie znają.

Ona trzyma w garści orzechy laskowe, częstuje go,
 nie odwracając się – a dokładnie – podnosi je na oślep, a on
 łowi orzechy ustami przypominającymi
 brunatną postrzępioną łatkę.

Z powrotem, ze stacji, ona wraca sama,
 bardziej podobna do figurki z papieru,
 sucha, równa, dwuwymiarowa,
 przywykła do wprawiania się w tej miłości jak do
 uzyskiwania obiadu z niczego –
 garstki herbaty i dwóch ziemniaków.
 Będzie jechać przez pierwsze uderzenia deszczu,
 przewijając nogami świecąca się kliszę, niekończący się
 pusty kadr, na którym on kiedyś wbiegał do salonu
 i kręcił ją długo w objęciach.

Ot, pusty język miłości targującej się z nadzieją
 jak jednonogie krzesło z piecem: jeszcze choć do południa
 nie zaczepiaj, jeśli już nie dane mi
 przeżyć nocy.

Prawie improvizacja

Drzewo, pod którym rozebraliśmy się kiedyś,
jeszcze jako prawie dzieci i nie wiedzieliśmy, co dalej robić.

Drzewo, po którym babunia poznawała miejsce domu
swojej młodości.

Drzewo, w które rzucałem noże.

Drzewo pełne gniazd os, które na próżno uczyło nas
ostrożności.

Drzewo, które senne obrabowywaliśmy, kiedy pod szronem
zółcili się jeszcze jabłka.

Drzewo, na którym przez wiele dziesięcioleci była dziewczęca
huśtawka, dopóki moja siostra nie pokaleczyła się,
kiedy z niej spadła.

Drzewo, w którym żył koń.

O czym będą mówić, kiedy
zbiiorą się wiele lat po nas,

żeby odpocząć wreszcie w cieniu własnego cienia?



A z nadzieją co robić?
Ona jest jak koń –
ani porzucić ją na piasku, ani brać
do łódki.
Jeszcze pokorniejsza niż wtedy,
kiedy wiozła nas na sobie, prawie
nie prosząc o jedzenie.
Ale to nie jej wina, że
nie znaleźliśmy tu niczego,
a już czas
odpływać.
Może kiedy ją wypuścić,
wróci do jakiegoś swojego
domu?
Jakiego domu?